

A close-up photograph of a woman's face and upper body. She is wearing a thick, white fur coat with a large collar. Her lips are painted a vibrant red. She is also wearing a pearl necklace. The background is blurred, showing what appears to be a balcony railing. The image is framed by ornate, gold-colored decorative borders in the corners and along the sides.

KATE MORTON

Autorka „Domu w Riverton” i „Milczącego zamku”

STRAŻNIK TAJEMNIC

1

Angielska wieś, dom na pustkowiu, letni dzień na początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Budynek jest skromny: mur pruski, biała farba łuszczy się delikatnie na zachodniej ścianie, a klematis pnie po tynku. Z nadstawek kominowych unosi się para i wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że na płycie kuchennej pyrka w garnku coś smacznego. Mówią o tym również grządki warzywne na tyłach domu, okna dumnie pobłyskujące szybkami w ołowianych ramkach, dach ze starannie uzupełnionymi ubytkami w dachówkach.

Dom otacza typowo wiejski płot, a drewniana furtka odgradza uładzony ogród od łąk po drugiej stronie i rosnącego dalej zagajnika. Tam, w splątanym gąszczu drzew, pluska zwinnie po kamieniach strumień, przemykając pomiędzy światłem słonecznym a cieniem, jak czynił przez stulecia, ale stąd go nie słychać. Jest zbyt daleko. Dom stoi na odludziu, na końcu długiego, pylistego podjazdu, niewidocznego z wiejskiej drogi, z którą dzieli nazwę.

Czasem zerwie się lekki wietrzyk, ale poza tym wszystko trwa w bezruchu, jest spokojnie, cicho. Dwie białe obręcze hula-hoop, szaleństwo ostatniego roku, stoją oparte o treliaż obrośnięty glicynią. Pluszowy miś z przepaską na oku, wyro-

zumiały i pełen godności, stoi na warcie w dogodnym punkcie obserwacyjnym, czyli koszu na klamerki przyczepionym do zielonego wózka na pranie. Taczka wyładowana doniczkami czeka cierpliwie przy szopie.

Pomimo panującego bezruchu, a może właśnie z jego powodu, całe otoczenie jest naładowane oczekiwaniem, jak scena teatralna tuż przed wyłonieniem się aktorów z kulis. Wszystko jest jeszcze możliwe, los nie został przypieczętowany przez zdarzenia i nagle...

— Laurel! — woła niecierpliwie dziecięcy głos gdzieś w od dali. — Laurel, gdzie jesteś?

Czar prysł. Światła przygasają, kurtyna idzie w górę.

Nie wiadomo skąd pojawia się stadko kur, które zaczynają wydziobywać coś spomiędzy cegieł, którymi wyłożona jest ścieżka, sójka wlecze swój cień przez ogród, traktor na pobliskiej łące z terkotem budzi się do życia. A wysoko ponad tym wszystkim leży sobie na plecach, na podłodze drewnianego domku na drzewie pewna szesnastolatka, która mocno przyciska cytrynową landrynkę językiem do podniebienia i wzdycha.



Może to było okrutne, że pozwalała im wciąż się szukać, ale w tym upale nie mogła zdobyć się na wysiłek konieczny przy zabawie — bądź co bądź dość dziecinnej — zwłaszcza że piastowała w duchu pewien sekret. Zresztą na tym przecież polegał sens zabawy w chowanego, tata zawsze powtarzał, że trzeba grać fair, a one nigdy się nie uczą, jak nie będą próbować. To nie wina Laurel, że umie wynajdywać lepsze kryjówki. Owszem, są od niej młodsze, ale przecież to nie jakieś maluchy.

Zresztą wcale nie chciała, by ją odnaleziono. Nie dzisiaj. Nie teraz. Chciała tylko tak sobie leżeć i pozwalać, by cienka kretonowa sukienka muskała jej gołe nogi, podczas gdy w głowie krążyły myśli o nim.

Billy.

Przymknęła oczy, a jego imię wypisało się ozdobną kursywą na czarnym tle pod powiekami. Neon, jaskraworóżowy neon. Poczula mrowienie na skórze i przesunęła landrynkę w ustach tak, że czubek języka trafił w jej wklęsłość.

Billy Baxter.

Sposób, w jaki patrzył na nią ponad czarną oprawką okularów przeciwsłonecznych, ten krzywy uśmiech, ciemne włosy ostrzyżone jak u gwiazdy rock and rolla...

To nastąpiło natychmiast, jak się spodziewała po prawdziwej miłości. Ona i Shirley wysiadły z autobusu sześć sobót wcześniej i ujrzała Billy'ego, który wraz z przyjaciółmi palił papierosa na schodach przed salą taneczną. Ich oczy się spotkały i Laurel pogratulowała sobie, że przeznaczyła weekendowy zarobek na nowe nylonowe pończochy.

— Laurel, no przestań... — To była Iris, której głosik osłabł od upału. — Graj uczciwie...

Laurel zacisnęła mocniej powieki.

Przetańczyli razem całą zabawę. Zespół grał coraz szybciej, włosy Laurel wymknęły się z francuskiego koka, który starannie skopiowała z okładki „Bunty”, stopy ją paliły, ale wciąż tańczyła. Przestała dopiero wtedy, gdy podeszła do niej nadąsana Shirley, i niby jakaś ciotka oświadczyła, że zaraz odchodzi ostatni autobus do domu, o ile Laurel zależy na tym, by wrócić na czas (a ona, Shirley, sądzi, że chyba jest jej wszystko jedno). A potem, gdy koleżanka przytupywała niecierpliwie, a rozpłomieniona Laurel powiedziała do widzenia, Billy chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, i coś w głębi Laurel już wiedziało z oślepiającą jasnością, że ta chwila, ta piękna, roziskrzona chwila, czekała na nią przez całe życie...

— Dobra, rób sobie jak chcesz! — Teraz w głosie Iris wyraźnie było słychać rozdrażnienie. — Ale nie miej do mnie pretensji, jak zabraknie dla ciebie tortu.

Słońce prześlizgnęło się już przez zenit i smuga żaru wpadła przez okno domku na drzewie, wypalając na wewnętrznych powiekach Laurel barwę coli o smaku wiśniowym. Usiadła, ale nie zrobiła nic, by opuścić swoją kryjówkę. Pogróżka była celnie wymierzona — wszyscy znali słabość Laurel do biszkoptu królowej Wiktorii w wykonaniu mamy — lecz chybiona. Laurel wiedziała bowiem, że nóż do tortu leży zapomniany na kuchennym stole, gdzie przeoczono go pośród wcześniejszego zamieszania, gdy rodzina szykowała koszyki piknikowe, a potem wszyscy zgarnęli pledy, musującą lemoniadę, ręczniki, nowe radio tranzystorowe i ruszyli pędem nad strumień. Wiedziała to, ponieważ, gdy zawróciła pod pozorem szukania kryjówki i wślizgnęła się do chłodnego, mrocznego domu po swoją przesyłkę, ujrzała nóż obok misy z owocami, gdzie spoczywał z czerwoną kokardą zawiązaną na rączce.

Nóż był elementem pewnej tradycji w rodzinie Nicolsonów — przekrajał wszystkie torty urodzinowe, ciasta świąteczne, wypieki szykowane dla poprawienia komuś nastroju — a mama miała bzika na punkcie tradycji.

Tak więc Laurel wiedziała, że ma wolne, dopóki nie wyślą kogoś po ten nóż. A czemu by nie? W takim domu jak ten, gdzie rzadko zdarzały się spokojne chwile, gdzie zawsze ktoś wchodził jednymi drzwiami albo trząsał drugimi, trwonienie prywatności równało się świętokradztwu.

A zwłaszcza dziś potrzebowała czasu dla siebie.

Paczka nadeszła z ostatnią czwartkową pocztą i szczęśliwym zrządzeniem losu listonosza spotkała Rose, a nie Iris, Daphne czy, nie daj Boże, mama. Laurel od razu wiedziała, od kogo jest ta przesyłka. Jej policzki zalały się rumieńcem, ale zdołała wyjąkać coś o Shirley, zespole i pożyczonej płycie. Zresztą szkoda było się wysilać dla Rose, na której uwadze nigdy nie należało polegać, a teraz zdążyła już ją przenieść na motyla siedzącego na płocie.

Później tego wieczoru, gdy wszyscy skupili się przed telewizorem, by oglądać *Juke Box Jury*, a Iris i Daphne porównywały zalety Cliffa Richarda i Adama Faitha, ojciec zaś lamentował nad fałszywym amerykańskim akcentem tego drugiego oraz innymi stratami Imperium Brytyjskiego w szerszym sensie, Laurel udało się wymknąć. Zamknęła zamek w łazience i zsunęła się na podłogę, mocno przyciskając plecy do drzwi.

Drżącymi palcami rozdarła brzeg paczki.

Na jej kolana wypadła cienka książka owinięta w bibułkę. Przeczytała tytuł przez papier — *Urodziny Stanleya* Harolda Pintera — i dreszcz przeszedł jej po plecach. Nie mogła powstrzymać pisku.

Od tamtej pory spała z tą książką ukrytą pod poszewką poduszki. Niezbyt to było wygodne, ale lubiła trzymać ją w pobliżu. Musiała mieć ją przy sobie. To było ważne.

Laurel wierzyła w to, że są chwile, gdy człowiek staje na rozdrożu, gdy coś nagle nieoczekiwanie się wydarza i zmienia bieg ludzkiego życia. Premiera sztuki Pintera była takim właśnie momentem. Przeczytała o niej w gazecie i nie wiedzieć czemu poczuła, że koniecznie chce ją obejrzeć. Powiedziała rodzicom, że jedzie odwiedzić Shirley, zobowiązała przyjaciółkę do dochowania tajemnicy, a następnie złapała autobus do Cambridge.

To była jej pierwsza samotna wyprawa w życiu i gdy tak siedziała na ciemnej widowni Arts Theatre i patrzyła, jak przyjęcie urodzinowe Stanleya przeradza się w koszmar, doznała uniesienia, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Był to chyba ten rodzaj objawienia, którym napawały się zarumienione panny Buxton w kościele w każdy niedzielny poranek, i choć Laurel podejrzewała, że ich entuzjazm miał więcej wspólnego z nowym młodym proboszczem niż Słowem Bożym. Siedząc na tanim miejscu na widowni, gdy energia dramatu rozgrywającego się na scenie dotarła do jej wnętrza i połączyła się z jej własną, poczuła, jak twarz płonie jej

blękością i już wiedziała. Nie była pewna, co dokładnie, ale wiedziała to z niezbitą pewnością: w życiu chodziło o coś więcej, i to coś na nią czeka.

Hołubiła ten sekret, nie bardzo wiedząc, co z nim począć, nie potrafiąc wyjaśnić nikomu, co ją dręczy, aż do tamtego wieczoru, gdy Billy obejmował ją ramieniem, a ona, przyciskając mocno policzek do jego skórzanej kurtki, opowiedziała mu o tym wszystkim...

Laurel wyjęła jego list z książki i ponownie go przeczytała. Był krótki, Billy pisał tylko, że będzie czekał na nią z motocyklem na końcu ulicy, o wpół do trzeciej w sobotę — jest pewne miejsce, które chciałby jej pokazać, ulubiony zakątek na wybrzeżu.

Zerknęła na zegarek. Zostały niecałe dwie godziny.

Pokiwał głową, gdy powiedziała mu o uczuciach, jakie wywołało w niej przedstawienie *Urodzin Stanleya*, a potem zaczął mówić o Londynie i teatrze, i zespołach, które oglądał w bezimiennych nocnych klubach, a Laurel dostrzegła przeblask różnych możliwości. A potem ją pocałował, to był jej pierwszy prawdziwy pocałunek, żarówka w głowie wybuchła i wszystko rozjarzyło się do białości.

Przesunęła się w miejsce, w którym Daphne ustawiła małe lustro, i przyjrzała się czarnym kreskom namalowanym z benedyktyńską cierpliwością w kącikach oczu. Zadowolona, że są równe, przyglądała grzywkę i próbowała wyzbyć się uciążliwego, mdłego uczucia, że zapomniała o czymś ważnym. Przypomniała sobie o ręczniku kąpielowym, kostium miała już pod sukienką. Powiedziała rodzicom, że pani Hodgkins potrzebuje jej w salonie na kilka dodatkowych godzin, bo trzeba pozamiatać i posprzątać.

Odwróciła się od lusterka i skubnęła skórę przy paznokciu. Oszukiwanie nie leżało w jej naturze, była porządną dziewczyną, wszyscy tak mówili — nauczyciele, matki koleżanek,

pani Hodgkins — ale czy miała jakiś wybór? Jak zdołałaby to wytłumaczyć matce i ojcu?

Wiedziała prawie na pewno, że jej rodzice nigdy nie doświadczyli miłości, choć tak bardzo lubili opowiadać, jak się poznali. Och, kochali się wystarczająco, ale to była bezpieczna miłość starszych ludzi, wyrażana masowaniem ramion i niezliczonymi filiżankami herbaty. Nie — Laurel westchnęła gorąco. Można z pewnością powiedzieć, że żadne z nich nigdy nie doświadczyło innego rodzaju miłości, tej z fajerwerkami, biciem serca i fizycznymi — zarumieniła się — pragnieniami.

Ciepły powiew wiatru przyniósł z oddali śmiech matki, a świadomość, jakkolwiek nikła, stania nad przepaścią we własnym życiu, wywołała w Laurel czułość. Kochana mama. To nie jej wina, że miała młodość zmarnowaną przez wojnę i dwadzieścia pięć lat, gdy poznała i poślubiła tatę. Wciąż wykorzystywała swój talent do robienia stateczków z papieru, gdy ktoś z nich potrzebowało pocieszenia, a najważniejszym wydarzeniem lata było wygranie nagrody ufundowanej przez wiejski Klub Ogrodników i zamieszczenie jej zdjęcia w gazecie. (Nie tylko lokalnej, bo artykuł został sprzedany do londyńskiej prasy i ukazał się w dużym wydaniu specjalnym na temat wydarzeń regionalnych; ojciec Shirley, adwokat, z wielką przyjemnością wyciął artykuł z gazety i go przywiózł). Mama udawała zażenowanie i zaprotestowała, gdy tata przyczepił wycinek na nowej lodówce, ale robiła to bez przekonania i nie zdjęła go. Nie, ona była dumna ze swojej superdługiej fasoli wielokwiatowej, bardzo dumna, i właśnie to dawało Laurel do myślenia. Wypluła okazały kawałek paznokcia. W pewnym trudnym do określenia sensie sądziła, że lepiej jest oszukiwać osobę, która jest dumna z fasolki wielokwiatowej, niż zmuszać ją do akceptowania faktu, że świat się zmienił.

Nie miała zbytniego doświadczenia w oszukiwaniu. Członkowie rodziny Laurel byli ze sobą bardzo blisko, co podkreślały

wszystkie jej koleżanki. Mówiły to jej w twarz i, jak wiedziała, za plecami. Zdaniem osób postronnych Nicolsonowie popełniali ten wielce podejrzany grzech, że najwyraźniej autentycznie się lubili. Jednak ostatnio sytuacja uległa zmianie. Chociaż Laurel zachowywała wszelkie pozory, uświadamiała sobie dziwny, nieznany dystans. Zmarszczyła lekko brwi, gdy letni wietrzyk zwał jej na twarz kilka pasemek włosów. Wieczorami, kiedy siadywali wokół stołu w jadalni, ojciec rzucał te swoje słodkie, mało zabawne żarciki, a oni i tak się z nich śmiali, czuła się, jakby była na zewnątrz i zaglądała do środka, jakby pozostali siedzieli w wagonie pociągu, ukołysani znanym rodzinnym rytmem, a ona stała samotnie na peronie i patrzyła, jak odjeżdżają.

Tylko że to ona miała ich opuścić, i to wkrótce. Już wszystko się dowiedziała: musiała pojechać do Głównej Szkoły Aktorskiej. Zastanawiała się, co powiedzieliby rodzice, gdyby oświadczyła, że chce wyjechać. Żadne z nich nie było szczególnie bywałe w świecie — matka od narodzin Laurel nie wyjeżdżała nawet do Londynu — więc sama sugestia, że najstarsza córka rozważa przeprowadzkę do tego miasta, nie wspominając o podejrzanym życiu w teatrze, mogłaby przyprowadzić ich o apopleksję.

Mokre pranie poruszyło się na sznurze rozpiętym w dole. Jedna nogawka dżinsów, których tak nie znosiła babcia („Wyglądasz wulgarnie, Laurel — nie ma nic gorszego niż dziewczyna, która się szlaja”), otarła się o drugą, płosząc kurę z jednym skrzydłem, która rozgdakała się i zaczęła biegać w kółko. Laurel wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach i oparła się o ścianę domku.

Problemem była wojna. Skończyła się szesnaście lat temu — całe jej życie — i świat poszedł do przodu. Teraz wszystko się zmieniło. Maski gazowe, mundury, kartki na żywność i cała reszta pasowały tylko do wielkiego starego kufra w kolorze khaki, który ojciec trzymał na strychu. Niestety niektórzy ludzie

chyba nie zdawali sobie z tego sprawy, a konkretnie cała populacja tych, którzy mieli ponad dwadzieścia pięć lat.

Billy powiedział, że Laurel nie zdoła znaleźć słów, dzięki którym oni rozumieją. Powiedział, że to się nazywa różnica pokoleń i nie ma sensu podejmować prób wyjaśniania czegośkolwiek. Bo jest tak, jak mówi Alan Sillitoe w książce, którą Billy zawsze nosił w kieszeni: dorośli nie mają rozumieć swoich dzieci i robisz coś nie tak, jeśli jest inaczej.

W pierwszym odruchu Laurel — dobra dziewczynka, lojalna wobec rodziców — chciała się z nim nie zgodzić, ale zaraz jej przeszło. Zamiast tego przywołała w myślach niedawne wieczory, kiedy to udawało jej się wymknąć siostrze, zanurzyć w balsamiczny mrok, i z radiem ukrytym pod bluzką i mocno bijącym sercem wdrapać do domku na drzewie. Tam, samotnie, szybko nastawiała tranzystor na Radio Luxembourg, kładła się na plecach w ciemności i pozwalała otoczyć się dźwiękiem. Gdy muzyka wsączała się w nieruchome wiejskie powietrze, zasnuwając odwieczny pejzaż najnowszymi piosenkami, Laurel przechodziły ciarki i czuła cudowne odurzenie na myśl, że jest częścią czegoś większego, ogólnoświatowej konspiracji, sekretnej ugrupowania. Nowe pokolenie ludzi, którzy słuchali radia dokładnie w tej samej chwili i rozumieli, że życie, świat, przyszłość gdzieś tam na nich czekają...

Laurel otworzyła oczy i wspomnienie przyszło. Jednak pozostał po nim ciepły ślad, dziewczyna przeciągnęła się z zadowoleniem i zaczęła śledzić lot gawrona przecinającego zarys chmury. Leć, ptaszku, leć. Ona też tak wyfrunie, tylko skończy szkołę. Podążyła wzrokiem za ptakiem i mrugnęła dopiero wtedy, gdy był punkcikiem na odległym błękanie, bo powiedziała sobie, że jeśli tego dokona, uda się jej nakłonić rodziców, by ujrzeni sprawę jej oczami, a przyszłość potoczy się gładko.

Oczy zaszyły łzami triumfu i opuściła wzrok na dom: okno swojej sypialni, marcinki, które posadziły z mamą nad mart-

wym ciałem biednego kota Constable'a, szpara między cegłami, w której, wstyd powiedzieć, zostawiała liściki dla wrózek.

Miała też mgliste wspomnienia z wcześniejszego okresu, gdy była bardzo mała i zbierała ślimaki na płyciźnie na wybrzeżu, każdego wieczoru jadła kolację we frontowym pokoju nadmorskiego pensjonatu babci, ale przypominały sen. Dom na wsi był jedynym domem, jaki знаła. I chociaż sama nie chciała mieć fotela należącego do kompletu, lubiła patrzeć na rodziców, którzy każdego wieczoru rozsiadali się w swoich, lubiła wiedzieć, że gdy ona zasypia, oni rozmawiają za cienką ścianą, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć którąś z sióstr.

Będzie za nimi tęskniła, kiedy wyjedzie.

Laurel zamrugała. Będzie za nimi tęskniła. Natychmiast to do niej dotarło. Ta pewność osiadła w żołądku jak kamień. Pożyczały jej ciuchy, łamały szminki, rysowały płyty, ale będzie za nimi tęskniła. Ten hałas i ciepło, ruch i sprzeczki, niezmierna radość. Były jak miot szczeniąt kłębiących się razem we wspólnej sypialni. Oszalałymi ludźmi z zewnątrz i to je bawiło. Były Nicolsonównami, Laurel, Rose, Iris i Daphne, ogrodem córek, jak mawiał z rozrzewnieniem tato, gdy wypił o jedno piwko za dużo. Były dziewczuchami z piekła rodem, jak mawiała babcia po ich wakacyjnych wizytach.

Teraz słyszała z daleka pokrzykiwania i piski, odległe odgłosy lata nad strumieniem. Coś wewnątrz niej ścisnęło się, jakby ktoś pociągnął za linę. Mogła je sobie wyobrazić, jakby zeszły ze scenki na jakimś obrazie. Spódnice zatknięte po bokach w majtki, siostry gonią się na płyciźnie; Rose uciekła na skałki, cienkie kostki poruszają się w wodzie, gdy szkicuje mokrym patyczkiem, Iris się zamoczyła i jest wściekła z tego powodu, a Daphne, z tymi swoimi skręconymi kędziorami, pokłada się ze śmiechu.

Kraciasty koc piknikowy pewnie jest rozłożony na trawiastym brzegu, a matka stoi w pobliżu, po kolana w wodzie, na zakręcie strumyka, gdzie nurt jest najszybszy, i puszcza zro-

biony przed chwilą stateczek. Tata przygląda się z brzegu, ma podwinięte spodnie, papierosa w kąciku ust. Na jego twarzy pojawił się — Laurel mogła wyobrazić to sobie bardzo wyraźnie — ten charakterystyczny, lekko zdeprimowany wyraz, jakby ojciec nie mógł uwierzyć we własne szczęście, dzięki któremu życie przywiodło go w to właśnie miejsce, w tym właśnie czasie.

Przy stopach taty pluszcze się maluch, piszcząc i śmiejąc się, gdy pulchne rączki wyciągają się do stateczka mamy. Ich małe słoneczko...

Maluch. Oczywiście ma imię, mianowicie Gerald, ale nikt go tak nie nazywa. To przecież dorosłe imię, a on jest takim maleństwem. Kończy dziś dwa latka, ale jego buzia jest wciąż okrągła i pełna dołeczków, ma figlarne błyski w oczach i rozkosznie pulchne białe nóżki. Laurel czasem z trudem się powstrzymywała, by ich za mocno nie ścisnąć. Każda z sióstr chciała być jego ulubienicą i każda się za taką uważała, ale Laurel wiedziała, że twarzyczka malca najbardziej rozjaśniała się na jej widok.

To nie do pomyślenia, że traci choćby sekundę jego przyjęcia urodzinowego. Co ona sobie myśli, tak długo kryjąc się w domku na drzewie, zwłaszcza że zamierza wymknąć się później z Billym?

Laurel zmarszczyła brwi i odsunęła gorącą falę wyrzutów, którą szybko ochłodziła pewnym postanowieniem. Zaraz to wszystko naprawi: zejdzie na dół, zabierze nóż urodzinowy z kuchennego stołu i zanieśie prosto nad strumień. Będzie wzorową córką, doskonałą starszą siostrą. Jeśli wykona zadanie, zanim zegarek na ręku odmierzy dziesięć minut, zgromadzi dodatkowe punkty na wyimaginowanej tabeli wyników, którą zawsze w środku nosiła. Ciepły wietrzyk owionął jej nagie opalone stopy, gdy stanęła szybko na pierwszym szczeblu drabinki.

Później Laurel zastanawiała się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby schodziła trochę wolniej. Może dałoby się zapobiec tej strasznej rzeczy, gdyby wykazała więcej ostrożności. Ale nie wykazała i nie zapobiegła. Spieszyła się i dlatego zawsze będzie w pewnym sensie obwiniała się o to, co nastąpiło potem. Jednak wtedy nie mogła się powstrzymać. O ile wcześniej tak bardzo pragnęła samotności, o tyle teraz poczuła nagłą, zapierającą dech potrzebę bycia w samym centrum wydarzeń.

Ostatnio często tak bywało. Przypominała wiatrowskaz na szczycie dachu w Greenacres, jej emocje zmieniały się nagle, jak za powiewem wiatru. To było dziwne i czasem przerażające, ale też fascynujące. Jak niepewna jazda na rowerze po plaży.

W tym momencie okazało się to również szkodliwe, bo pragnąc jak najszybciej dołączyć do uczestników przyjęcia nad strumieniem, zaczepiła kolaniem o drewnianą podłogę domku na drzewie. Obtarcie zabolowało i Laurel się skrzywiła, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła na kolanie krew, zadziwiająco czerwoną. Zamiast kontynuować schodzenie na dół, wspięła się z powrotem do domku, by obejrzeć skaleczenie.

Kiedy tak siedziała, gapiąc się na krwawiące kolano, przeklinając swój pośpiech i zastanawiając się, czy Billy zauważy brzydki strup oraz jak by go ukryć, dotarło do niej, że od strony zagajnika dobiegają jakieś odgłosy. Zwyczajny szelest, a jednak na tyle wyraźny na tle innych popołudniowych odgłosów, by przyciągnąć jej uwagę. Wyrzała przez okno i zobaczyła Barnaby'ego, który sadził wielkie susy przez wysoką trawę, a jego jedwabiste uszy trzepotały jak skrzydła. Matka była tuż za nim, kroczyła łąką w stronę ogrodu w swojej letniej, własnoręcznie uszytej sukience. Maluch siedział wygodnie na jej biodrze, nóżki wystające ze śpioszków ze względu na upał miał gołe.

Chociaż byli jeszcze daleko, z powodu dziwnych figlów wiatru Laurel słyszała wyraźnie melodie, którą nuciła mama.

Śpiewała tę piosenkę każdemu ze swoich dzieci. Maluch śmiał się radośnie i wołał „jeszcze! jeszcze!” (choć brzmiało to „jesie, jesie!”), a mama wspinała się palcami po jego brzuszku, by połaskotać go pod brodą. Ich wzajemne skupienie na sobie było tak całkowite, pojawienie się na zalanej słońcem łące tak idylliczne, że Laurel czuła zarówno radość wywołaną oglądaniem tej intymnej scenki, jak i zazdrość spowodowaną tym, że jest z niej wyłączona.

Gdy matka otworzyła furtkę i ruszyła w stronę domu, Laurel zrozumiała ze smutkiem, że przyszła po nóż do tortu.

Z każdym jej krokiem malały szanse Laurel na odkupienie. Przygnębiło ją to, a ponury nastrój powstrzymał przed zawołaniem matki albo zejściem na dół i przykuł ją do podłogi domku na drzewie. Siedziała więc tam, napawając się swym smutkiem, podczas gdy matka dotarła do domu i weszła do środka.

Jedna z obręczy hula-hoop upadła cicho na ziemię, a Laurel odebrała to jako gest solidarności. Postanowiła nie ruszać się z miejsca. Niech jeszcze trochę za nią potęsknią, pójdzie nad strumień, gdy wróci jej odpowiedni nastrój. A tymczasem poczyta znów *Urodziny Stanleya*, wyobrażając sobie przyszłość daleko stąd, życie, w którym jest piękna, wyrafinowana, dorosła i bez strupów.



Ten człowiek, kiedy się pojawił, był zaledwie zamazaną smugą na horyzoncie, na najdalszym krańcu podjazdu. Laurel później nie mogła sobie przypomnieć, co skłoniło ją do podniesienia wzroku. Przez jedną straszną chwilę, gdy tylko zauważyła mężczyznę zbliżającego się do domu od tyłu, myślała, że to Billy, który pojawił się wcześniej i właśnie po nią idzie. Dopiero gdy ujrzała wyraźniej sylwetkę przybysza i uświadomiła sobie, że mężczyzna jest ubrany zupełnie inaczej — ciem-

ne spodnie, koszula z podwiniętymi rękawami i czarny staroświecki kapelusz — odetchnęła z ulgą.

Ulgę natychmiast zastąpiła ciekawość. Do ich wiejskiego domu rzadko przybywali goście, szczególnie pieszo, choć w głowie Laurel zaświtało jakieś wspomnienie, kiedy patrzyła na zbliżającego się mężczyznę, dziwne wrażenie *déjà vu*, którego w żaden sposób nie potrafiła umiejscowić. Laurel zapomniała, że się dąsa, i korzystając z luksusowego położenia w kryjówce, zaczęła się gapić.

Oparła łokcie na parapecie, podbródek na rękach. Wyglądał całkiem nieźle jak na starszego mężczyznę, a coś w jego postawie świadczyło o pewności siebie i determinacji. Oto facet, który nie musi się spieszyć. Na pewno nie był to nikt znajomy, żaden z przyjaciół ojca z wioski ani żaden z pracowników rolnych. Zawsze istniała możliwość, że to podróżny, który zabłądził i szuka wskazówek, ale ich dom byłby wątpliwym wyborem, bo znajdował się z dala od drogi. A może to Cygan albo jakiś włóczęga? Jeden z tych mężczyzn, którzy czasami zaglądali do nich w poszukiwaniu szczęścia i byli wdzięczni za każdą pracę, jaką tata im oferował? Albo — Laurel zadrżała na myśl o tym — to mógł być ten człowiek, o którym czytała w lokalnej gazecie i o którym dorośli rozmawiali tak nerwowo, bo nagabywał piknikowiczów i napędzał stracha kobietom oddalającym się samotnie za zakręt strumienia.

Laurel zadrżała, bo sama się przestraszyła, a potem ziewnęła. Mężczyzna nie był groźny, teraz zauważyła jego skórzaną torbę. To sprzedawca, który przyszedł powiedzieć matce o najnowszym komplecie encyklopedii, bez której nie mogli żyć.

Tak więc odwróciła wzrok.



Minęło parę minut, niezbyt wiele, i Laurel usłyszała gardłowe warczenie Barnaby'ego pod drzewem. Podkraśla się do okna,

a gdy wyrzała ostrożnie nad parapetem, zobaczyła spaniela zastygłego w czujnej pozie na ceglanej ścieżce. Stał zwrócony w stronę podjazdu i patrzył na mężczyznę, który właśnie mocował się z żelazną furtką prowadzącą do ogrodu.

— Spokój, Barnaby! — zawołała mama z wnętrza domu. — Już wychodzimy.

Wynurzyła się z ciemnego holu, przystając w otwartych drzwiach, by wyszeptać coś dziecku do ucha, ucałowała pulchne policzki, a mały zachichotał.

Za domem, obok wybiegu dla kur, skrzypnęła furtka — zawiasy zawsze wymagały oliwienia — a pies znów zawarczał. Zjeżyły mu się włosy na grzbiecie.

— Barnaby, przestań — rzuciła mama. — Co w ciebie wstąpiło?

Mężczyzna wyłonił się zza rogu domu, a ona odwróciła ku niemu głowę. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Dzień dobry — powiedział nieznajomy, przystając, by przycisnąć chusteczkę kolejno do obu skroni. — Ładną dziś mamy pogodę.

Twarcyzka dziecka rozjaśniła się z zachwyty na widok przybysza i maluch wyciągnął swoje pulchne rączki, rozwierając i zamykając dłonie w geście radosnego powitania. Temu zaproszeniu nikt nie potrafił się oprzeć. Mężczyzna wetknął chusteczkę do kieszeni i zrobił krok do przodu, unosząc lekko dłoń, jakby chciał namaścić malucha.

Matka poruszyła się z przerażającą szybkością. Zagarnęła dziecko, przyciskając je do piersi, a potem posadziła obcesowo na ziemi za sobą. Nagie nóżki zetknęły się ze żwirem, a dla dziecka, które znało tylko czułość i miłość, był to zbyt wielki szok. Przestraszony chłopczyk zaczął płakać.

Laurel ścisnęło się serce, ale czuła się jak zamrożona, nie była w stanie się ruszyć. Zjeżyły się jej włoski na karku. Patrzyła na twarz matki, na której pojawił się wyraz, jakiego

Laurel nigdy wcześniej nie widziała. Uświadomiła sobie, że to strach. Mama się bała.

Efekt był porażający. Wszystkie pewniki obecne w życiu Laurel zmieniły się w dym i uleciały. Ich miejsce zajęła zimna trwoga.

— Witaj, Dorothy — powiedział mężczyzna. — Dawnośmy się nie widzieli.

Znał imię mamy. A więc to nie był nieznajomy.

Odezwał się znowu, lecz zbyt cicho, by Laurel mogła go usłyszeć, a matka lekko mu przytaknęła. Potem słuchała dalej, przechylając głowę na jedną stronę. Jej twarz uniosła się do słońca, a oczy zamknęły tylko na jedną sekundę.

To, co nastąpiło, stało się szybko.

Laurel na zawsze zapamięta ten płynny srebrzysty błysk, odbicie słońca na metalowym ostrzu. Ta chwila była piękna.

Potem nóż opadł w dół, ten nóż przeznaczony na specjalne okazje, i zanurzył się głęboko w piersi mężczyzny. Czas zwolnił, a następnie przyspieszył. Mężczyzna krzyknął, a jego twarz wykrzywiła się ze zdziwienia, bólu i przerażenia. Laurel patrzyła na jego ręce, które zbliżyły się do kościanej rączki noża, w miejscu gdzie krew plamiła koszulę. Widziała, jak mężczyzna pada na ziemię, a ciepły wietrzyk wlecze po ziemi jego kapelusz.

Pies głośno szczekał, dziecko siedzące na żwirze zanosilo się płaczem, twarzyczkę miało czerwoną i lśniącą od łez, jego małe serduszko pękało z żalu, ale do Laurel ledwie docierały te odgłosy. Słyszała je poprzez galop własnej pulsującej krwi, charkot własnego urywanego oddechu.

Nóż tkwił nienaruszony w piersi mężczyzny, a końcówka wstążki opadła przy kamieniach odgradzających klomb. To była ostatnia rzecz, jaką widziała Laurel, zanim przed jej oczami pokazały się błyskające gwiazdki, a potem wszystko zalała czerń.